

Śmierć Neyestecae była ciosem w samo serce imperium Qarnachasayosyran, stała się wyrwą w ciele narodu. Wyrwą, która pozwoliła na wyrośnięcie czegoś innego, do tej pory ukrytego w cieniu, toczącego organizm trucizną przez wiele lat. A teraz... teraz ta śmierć pozwoliła na zmiany. Zaczęły się wraz z falą obezwładniającego bólu ogarniającego cały naród. Wtedy przebudzili się uśpieni od lat agenci, i gdy otrząsnęli się z pierwszego zdziwienia, zrozumieli, że nastał czas nowego rozdania.

Zaczęło się od kilku słów skreślonych na karcie papieru. Takiej karcie, co przebyła następnie na pokładzie pewnego statku pewną zatokę, a następnie trafiła w ręce osoby, która nie spodziewała się dostać żadnych wieści. Zwłaszcza z tego źródła.

Wróć do domu siostrzyczko.

Wróciła.

Wróciła, chociaż nie było już domu, do którego mogłaby wrócić. A przynajmniej nie takiego, jaki zapamiętała.

Zimne jesienne wody rozbijały się o pirs, gdy statek zbliżał się do portu. Flaga Caer powiewająca nad talsojskim dwumasztowcem wpływającą do imperialnego portu zdawała się być znamienna, zarówno dla oczekujących na brzegu Qa, jak i dla pasażerki jednostki. Przez moment, przez ułamek sekundy, chciała zniknąć, uciec od obowiązków, odpowiedzialności i powinności. Przestać istnieć. Patrząc jednak na zbliżającą się przystań wiedziała, że nie ma już odwrotu. Wiedziała to już, gdy uciekała z opuszczonej, upiornej wioski, gdy towarzyszyła Styryjczykom i Wergundowi, gdy zdradziła swój naród.

Gdy zdecydowała o losach nie tylko swoich, ale i tysiącach jej podobnych.

Wiatr targnął jej ciałem, zawirował wokół ciemnymi ramionami materiał sukni, kosmyki rudych włosów wymknęły się z misternej fryzury podtrzymywanej przez materiałową opaskę. Niebieskie oczy zaszkliły się, gdy wspomniała tych, którzy musieli zginąć, by się tu znalazła.

Korheni.

Tzekelkan.

Ylva.

Emilia.

Te imiona paliły najbardziej. Może dlatego, że to od nich wszystko się zaczęło. Może dlatego, że początek tego wszystkiego pozostawał zbyt wyraźny w jej myślach. Kolejne śmierci, kolejne ofiary, kolejne poświęcenia dla sprawy. To już się rozmazywało, gubiło w minionych latach, znikало w masie zdarzeń.

Nie była świadoma łez spływających jej po policzkach. Załoga statku wokół niej uwijała się, przygotowując statek do przybicia do wrogiego portu, i tylko jedna osoba z jej towarzyszy przyglądała się płaczącej Qa. Przyglądała się i nic nie mówiła. Starła się rozumieć. Ale nigdy nie była świadkiem tamtych wydarzeń. Nie miała prawa rozumieć. Nie miała prawa pamiętać.

A w umyśle rudowłosej to wszystko było wciąż żywe. Bankiet w cesarskim dworku, pary wirujące w rytm walca. Na jednej sali Styryjczycy, elfy i Qa. Miała wtedy na sobie szarą suknię, zdobny pióropusz oznajmiający jej status córki tlicuahtli plemienia Coatl. Tańczyła wtedy z elfem. Nazywał się chyba Nox, ciemna czupryna, przyjazne brązowe oczy. Rozmawiali o dołączeniu Leth Caer do imperium szamanki. Później chyba tańczyła z ówczesnym dowódcą fortu Estel, weteranem wojennym i najemnikiem, zaraz po tym tańcu przekupiła go, by przeszedł na stronę jej ludu. Był jeszcze walc... Tańczyła go ze Styryjczykiem. Do tej pory pamiętała jego szelmowski uśmiech, iskierki w zmrużonych oczach, rozczochną blond czuprynę. To był jedyny taniec, który nie dotyczył polityki, który zrodził po prostu czystą przyjemność z podążania za melodią. Tamten Styryjczyk był dla niej miły, w niewymuszony sposób, ale może to to, że był też bardem, jak sam się przedstawiał. A

mimo to, raz na jakiś czas, wracała doń z ciepłymi myślami. Nie wiedziała, jak jego losy dalej się potoczyły. Nie ważyła też pytać o to agentów sztabu, to nie była w końcu jej sprawa. Żałowała, że nie zapamiętała jego imienia.

Zwijany żagiel trzepotał się pod coraz to silniejszymi podmuchami, które czuła na odsłoniętych plecach. Czarny materiał sukni zawijał się wokół jej talii. Nie czuła chłodu, jakby od dawna trawiła ją gorączka. Nie zareagowała na skrzyknięcie, gdy drzwi od kajuty się otworzyły. Ze środka wyszła Aii. W przeciwieństwie do pograżonej w żalobie dziewczyny miała na twarzy szereg wymalowanych minerałową farbą znaków, rozpuszczone włosy również przytrzymywała minerałowa opaska, ciepły kozuch i szal dobrze chroniły ją przed jesiennym chłodem, na który wyszła. Pełnym dezaprobaty spojrzeniem obdarzyła towarzyszkę, jednak nie komentowała. Rozumiała. Pewne konwenanse trzeba było zachować. Wspięła się po schodkach kierując na dziób. Już stąd widziała drżących w oczekiwaniu mieszkańców imperium. Ile nie było jej w domu? Dość dawno.

Obróciła się, by spojrzeć na stojącą na pokładzie dziewczynę. Nie. Kobietę. Już dawno przestała być podrostkiem, którego poznała. Minęło ponad dwadzieścia lat. Zmrużyła oczy i chuchnęła w marznące dłonie.

- Ciekawe, ile pozostało z twoich marzeń. – Mruknęła patrząc na rozbijające się o burty ciemnozielone fale.

Styryjka siedząca do tej pory na schodkach podniosła się, poprawiła mundur. Oficer czarnych tercji wyznaczony do ochrony jednego z najważniejszych pionków w tej grze. Ale miała ją chronić tylko do przybicia do brzegów, potem ochronę nad kobietą przejmowali inni agenci. Kto? Nie wiedziała, nie wtajemniczono jej w to. Podeszła bliżej rudowłosej kobiety chcąc coś powiedzieć, jednak nie znalazła nic, co mogłaby jej przekazać, co miałoby teraz jakikolwiek sens, jakikolwiek wagę. Po prostu minęła ją, nie przerywając rozmyślań.

A wraz ze zbliżającym się brzegiem i białymi bryłami zabudowań pojawiały się i zanikały kolejne myśli.

Strach przed chwilą tak dławiący odszedł z równą łatwością co wspomnienia z chatki zielarki o Clovisie. Znikły gdzieś słynne słowa o pięknych niebieskich oczach. Odeszła pamięć o krótkiej walce. Zniknęła wdzięczność za to, że nie została wtedy zabita, w tej samej karczmie co Korheni. Korheni... Pierwsza ofiara jej decyzji. Zausznik Neyestecae, świetny łowca, dobry człowiek. A jednak musiał wtedy zginąć. Przez te kilka godzin, kiedy została sama w karczmie, ze związanymi rękoma, wpatrywała się w jego stygnące ciało. Zadała sobie wtedy pytanie: Ilu jeszcze będzie musiało zginąć? Dziś... dziś wołałaby nie znać odpowiedzi na to pytanie.

Jednak i to odeszło. Tak jak krzyki w lutowy wieczór gdzieś w opuszczonej osadzie, wybuch adrenaliny w żyłach w dzikiej ucieczce przed krajanami. Eksplozja ognia gdzieś za plecami. Paniczne liczenie towarzyszy. Nie, nie wszyscy to przeżyli. Opłakiwała ich w tych krótkich chwilach odpoczynku, przez resztę czasu nie chcąc być ciężarem dla pozostałych, dla Nemarii, Clovisa, ani Galahrida. Ich ścieżki się potem rozeszły. Nemaria, córka devi terphilin, kapłanka i szpieg piastowała teraz jakieś wysokie stanowisko w wywiadzie styryjskim. Clovis... nie wiedziała co się z nim działo, nigdy nie wiedziała, nigdy jej nie mówił, chociaż odwiedzał ją raz na jakiś czas w Caer. Ostatni raz, gdy go widziała, to było to dwa miesiące przed śmiercią Neyestecae. Przypuszczała, że miał w tym swój udział. A Galahrid? Niespokojny duch wergundzkiego wywiadu. Jeśli nie działał na rzecz ojczyzny, to pewnie zginął.

Skrzypiało olinowanie, chlupotała woda przy poruszających się wiosłach. Trap uderzył o nadbrzeże. Aii zesza po schodkach z dziobu i stanęła obok wciąż zamyślanej towarzyszki.

- Pora na nas.

Odpowiedziało jej milczenie. Spojrzenie pełne bólu. I zmęczenia.

W końcu westchnęła ciężko i ruszyła się z miejsca, w którym dotychczas stała. Miała wrażenie jakby jej mięśnie były zastałe, nie chciały się odpowiednio przemieszczać, blokując kolejne

ruchy. A mimo to szła. Przekroczyła trap, zaraz za nią podążyła Aii. Jednak zanim poszła dalej obróciła się, oglądając na załogę, zmarszczyła brwi, skupiając się na Styryjce.

- Będę się nią opiekować. Przekaż im to... proszę. – Ostatnie słowo przyszło z trudem. Może ta Styria nie była tym samym co przed potopem... ale niechęć pozostała.

- Przekażę. – Odpowiedziała ciemnowłosa, patrząc za oddalającą się Qa. – Chcieliby wiedzieć, że wróciła bezpiecznie do domu.

- Ona nie ma domu Styryjko. Tak jak ty... – odparła Aii. – Tak jak wielu z waszego pokolenia.

W tych słowach było zbyt wiele prawdy. Bolesnej. Silnej. Sama szamanka widziała zbyt wiele wojen by przejmować się kolejną, a mimo to rozumiała co muszą czuć ci, dla których doczesność coś znaczyła.

W tym czasie rudowłosa skracala swój dystans do ludzkiej zbieraniny oczekującej na nadbrzeżu. I chociaż każdy krok ją do nich przybliżał, miała wrażenie, że się oddala. Kolejne oddechy i uderzenie serca dłużyły się w nieskończoność. A potem to wszystko minęło w jednej chwili. Zapala znajome spojrzenie niebieskich oczu brata. Stał przed resztą dostojników, czarna tunika nosiła znaki żałoby. Minerale symbole pokrywające jego oblicze już dawno utraciły wzór, który pamiętała sprzed dwudziestu lat, teraz mieszając się z wojennymi bliznami. Głowę zdobił pióropusz z jadowicie zielonych piór. Widząc ten symbol władzy w jego posiadaniu poczuła ból. Strata ojca, nie ważne kim stał się na tej wojnie, była wciąż bolesna. Zatrzymała się kilka kroków przed bratem, próbując się zdobyć na słowa powitania. Po chwili ciszy, jaka zapadła pomiędzy nimi, to on się odezwał.

- Witaj w domu, teupixqui Tlilxuchitl.

Teupixqui. To słowo brzmiało tak obco. Kiedyś była tylko prostą uzdrowicielką, leczącą przy pomocy minerałowych sigili. Ale to było ponad dwadzieścia lat temu. Od tamtej pory musiała nauczyć się rozumieć wolę Opiekunów. Stała się przewodniczką oraz kapłanką Mochi. Wciąż posiadała dawne umiejętności, jednak teraz była już kimś więcej niż tylko medykiem.

I chociaż więcej czasu poświęcała pochylając się nad próbkami, niż dysputach religijnych wiedziała, że cały świat okrzyknął ją mianem teupixqui. Ludzie na Północy nazywali tych, którzy podzielali jej poglądy plemieniem Tlilo, chociaż oni sami zwali siebie yolltli – sercem. Organ najważniejszy w organizmie, odpowiadający za pompowanie krwi, a zarazem utożsamiany ze zdolnością odczuwania. I tym się kiedyś kierowała, sercem. Teraz jej celem było dobro jej ludu.

Nie zdołała jednak zaprzeczyć na ten tytuł. Nie zdążyła uczynić nic gdy jej brat przyklęknął ściągając z głowy jednym ruchem pióropusz. Wyciągnął go w jej stronę.

- Witaj w domu Tlilxuchitl, tlicuahtli plemienia Coatl.

Coś szarpnęło się gdzieś w głębi. Nie wierzyła wcześniej, że to nastanie. Na nic zdały się godziny rozmów z agentami Sztabu oraz SSW. I chociaż przygotowali ją na tą chwilę, teraz czuła całkowitą niechęć do tego, by przyjąć ten tytuł. Czuła jednak na sobie oczekujące spojrzenia zebranych ludzi, czuła nieprzyjemny wzrok Aii, czuła napięcie promieniujące od szykującej się do odpłynięcia załogi statku, którym tu przybyła.

Pod przymkniętymi oczami znów zobaczyła tańczące na parkiecie pary. Ukłucie w okolicach serca. Dławiący oddech skurcz tchawicy. Przelatujące przed oczami oblicza tych, którzy musieli umrzeć, by się tu znalazła.

Musnęła palcami pióra, zieleń przemykała pod jej palcami, lekko, delikatnie. Ilu widząc ten pióropusz widziało swoją śmierć? Przy ilu egzekucjach był jej ojciec mając go na sobie? Ilu prowadzonych po stopniach piramid widziała zieleń i złoto zdobiące głowę plemienia Coatl? Zieleń i złoto... Styryjskie barwy. Tak nam do siebie daleko. A mimo to dzielimy te same barwy.

Uniosła dłonie, trzymając w nich pióropusz. Nieme westchnięcie ulgi wyrwało się pasażerom statku, by przerodzić w niezrozumienie. Ułożyła pióropusz na powrót na skroniach brata, oddając mu władzę nad plemieniem. Odmawiając złożonych hołdów. Odmawiając wszystkiemu, do czego dążyła przez te lata, i co mogło dać pokój jej ludziom.

- Nie jestem teupixqui. – Powiedziała marszcząc brwi. – Nie jestem i nie będę nigdy tiguahtli plemienia Węża.

Gdzieś za jej plecami Aii syknęła krótko przez zęby. Zebrani dostojnicy patrzyli na nią bez zrozumienia. Wśród tłumu wyłapała jedno gniewne spojrzenie, prawdopodobnie ukrytego pod czyjąś maską agenta sztabu.

- Jestem Tlilxuchitl. Nikim więcej. Wróciłam, Xolot. Ale nie do domu. Wróciłam do tych, którzy podzielają moje poglądy. Pora zakończyć tą bezsensowną wojnę.

Jestem Tlilxuchitl, powtórzyła w myślach, przypominając sobie spotkanie z tamtym Styryjczykiem z balu. Kilka lat temu w Caer. Całkowicie przypadkowo.

- Zauważyłem, że w waszym języku wszystko ma znaczenie. Nazwy. Imiona. To wszystko coś oznacza.

- Mhym...

- Co znaczy twoje imię? Tlilxuchitl?

- To nazwa takiej rośliny. Kwitnie na czarno-fioletowo i pnie się po innych roślinach. Ylva powiedziała mi, że u was nazywa się powojem. Chociaż częściej spotykałam się z tłumaczeniem, że jest to czarna orchidea.

- Ładnie.

- Dziękuję, Styryjczyku.

- Nie ma za co... To imię. Powój. Jest znamienne.

- Wiem. To wytłumaczył mi już ktoś inny. Ale nie jestem nią. Nawet jeśli jesteśmy podobne.

Pisała Powój